

Jan Jakub Kolksi

Ułaskawienie

Marczewską obudziło szczekanie psów. Podeszła do okna. Była pora jesieni — brudna i przesiąknięta wilgocią. Ranek przecierał się dopiero z nocą. Padało.

Oslabłym psom zawtórowały wkrótce kawki wyrwane z jakiegoś ciepłego noclegowiska. Marczevska przetarła szybę. Zmusiła oczy do wysiłku. Najpierw zobaczyła w szybie swoją twarz i wiedzioną kobiecym odruchem poprawiła kosmyk włosów. Potem przepatrzyła wolno wszystkie miejsca wyznaczające nieskomplikowaną przestrzeń Wiązówki. Dopiero na koniec dostrzegła obcego.

Obcym był mężczyzna około czterdziestu lat — wychudły, okryty mokrym płaszczem, przygarbiony. Wklęśnięcie czarnego kapelusza zbierało deszcz i kiedy mężczyzna głębiej pochylał głowę — woda ulewała się. Marczevska nie wiedzieć czemu uśmiechnęła się do siebie. Nie mogła widzieć, że i obcy uśmiechnął się w tej samej chwili i że też nie wiedział dlaczego.

Od Podlasu doszedł jazgot innych psów. Zajarzyły się w oknach światełka lamp naftowych. Tu i tam rozległy się stłumione deszczem nawoływania. Nadchodzili ludzie.

Mężczyzna przygarbił się jeszcze bardziej, zapadł się w siebie i tak pomniejszony czekał najgorszego.

Wiązówka była małą wsią, którą utrzymywały las i torf. Dawały zajęcie, broniły dostępu. Las piał się po skłonie, uciekał w suchsze miejsca, torf ciągnął za rzeką, błdził, rozsnuwał się w bagna. Ludzie nadeszli od Podlasu, z kilku chałup, które zamykały wieś od zachodu. Byli uzbrojeni w co kto miał, trzymali psy na postronkach. Kiedy doszli, stanęli czujnie w półokręgu, zamykając sobą jedyną drogę, która przemykała między lasem a rzeką. Czekali.

Czekała i Marczevska.

Nareszcie przyszedł ranek — siwy, mozolony. Starczyło w nim światła, by w tej samej chwili — ludzie i Marczevska — rozpoznali Zawieję. Ludzie nie wydali z siebie żadnego głosu, za to Marczevska aż jęknęła boleśnie, potem dodała do tego głosu podobnie bolesne spojrzenie na śpiącego trzyletniego Józia i już musiała wracać wzrokiem na wiązówkowy plac.

Jako pierwszy podszedł do Zawiei kuśtyk Macieja — odważniejszy albo może głupszy od innych. Okrążył mężczyznę dwa razy, potem przekrzywił głowę i wejrzał w twarz. Widać zobaczył w niej przyzwolenie, bo szybkim ruchem strącił mężczyźnie kapelusz z głowy, potem skomląc odbiegł kilka kroków. Zawieja nie zareagował. Może tylko głębiej wcisnął głowę w ramiona. Od tłumu oddzielił się teraz torfista Władek Majtyka, postawny chłop uzbrojony w drąg. Zaszedł Zawieję od tyłu i z szerokiego chłopskiego zamachu — uderzył drągiem pod kolana. Zawieja upadł wzbijając fontannę błota. Grymas bólu przekreślił mu na chwilę twarz, ale opanował się szybko. Został na kolanach. Jakaś kobiecina, okutana w chustę i gumowaną pelerynę, zapiszczała cieniutko:

— Trzeba po starego Materkę. Starego Materkę trzeba by do niego...

W grupie ktoś podchwycił pomysł i już za chwilę, w ślad za aprobującym szeptem gawiedzi, czterech wyrostków ślizgając się po błocie pobiegło w stronę Podlasu.

Marczevska oddychała szybko. W tej chwili to jedynie potrafiła zrobić. Tymczasem tłum wokół Zawiei szybko zgęstniał. Na plac obwiedziony łańcuszkiem takich samych bielonych chałup wylegli prawie wszyscy mieszkańcy, nie wyłączając zasmarkanych, opuchłych od snu dzieciaków.

Mijały chwile. Deszcz zelżał trochę, zdrobniał. Zawieja klęczał w błocie, zaś uparci chłopci, ich kobiety i dzieci — trwali wokół niego w milczeniu. Tylko ruchliwy Macieja kuśtykał w tę i z powrotem, wglądając w twarze ludzi i usiłując z nich coś przeczytać. Na koniec roześlony podszedł do Zawiei. Nieoczekiwanie wraził koniec laski między jego nogi. Zawieja zareagował gwałtownie. Chwycił za laskę i z wielką siłą odrzucił ją na bok, razem z uczepionym rączki Macieją. Prerażony kuśtyk zarył twarzą w błoto. To obudziło ludzi. Najbliżej stojący dopadli Zawiei i celnie, z zawziętością odbili kijami kuśtykową krzywdę. Ktoś krzyknął:

— Materkę niosą!

Ludzie odstąpili. Od Podlasu nadchodził, a może bardziej nadjeżdżał, Materka. Stary siedział na drewnianym krześle, pod które podłożono wzdłuż dwa drągi. Na takiej rozchybotanej chłopskiej lektyce przynieśli go

posłannicy tłumu i postawili trzy kroki od Zawieja. Zapadła cisza. Materka spojrzła na klęczącego mężczyznę. Długo milczał, na koniec dał znak, że chce wstać. Dwóch mężczyzn przypadło natychmiast do ramion starca. Unieśli go delikatnie. Po jeszcze jednej, długiej chwili starzec odezwał się cicho:

— Śmierć za tobą goni Zawieja... Czego tobie potrzeba od nas? Jakiej nowej krzywdy?

Zawieja podniósł wzrok, przetarł rękawem krew znad górnej wargi i przemówił cicho:

— Swoją winę znam... Ciężka, bardzo ciężka... Nie ma dla mnie miejsca na ziemi. Wobec was Materka i wobec innych zgrzeszyłem po równo. Swoją winę, mówię — znam i nie trzeba mi o niej przypominać. Na nic to niepotrzebne, kiedy ja nie was się boję — tylko siebie. Możecie mnie kazać kijami zatłuc i potem rzucić moje ścierwo psom na pożarcie. Możecie. Wy tu rządzą Materka i waszej woli przyszedłem się oddać. Nie ze strachu przyszedłem, tylko... Ja stąd, Materka. Wy wiecie. Z tych lasów i torfów rodzony — jak wy. Tu moja śmierć!

Stary opadł z sił. Kazał przybocznym opuścić się na krzesło. Westchnął głęboko.

— Krzywdy naszej nie szukasz... Nie przed nami masz strach, ale przed sobą... A Boga — Zawieja...? Boga się nie boisz? Jak my, naszą wolą, mamy tobą rozporządzić, to ty lepiej bój się Boga Zawieja, a nie siebie... Nie nasza tu władza i na nic szukać w niej rozporządzenia... bo to tak, jakbyś śmierci szukał... Ja mówię — nie nasza tu władza... Tyś mądry Zawieja i korzystaj z tego, póki inni milczą.

— Wyspa! Jest jeszcze wyspa na Mszarach — przerwał staremu Zawieja. Przez tłum przeszedł szmer:

— Wyspa. Mszarowa wyspa. Mszary. Ułaskawienie...

Stary podniósł rękę. Szepty zgasły w jednej chwili.

— Tyś już został osądzony Zawieja i sądy uwolniły cię od winy. Po co tobie człowieku nasze ułaskawienie?

— Mszary albo zabijcie — powtórzył Zawieja.

— Zabić bandytę! Za co jemu szansę dawać?! Kijami skurwysyna, niech się własną krwią udusi! Za krzywdę naszą...!

Stary Materka znów podniósł rękę.

— Nie ja tu rządzę. Nie mnie decydować...

Jeszcze raz popatrzył długo na Zawieję.

— Odnieście mnie do chałupy — poprosił.

Przyboczni pochyliłi się do dragów. Kiedy już podnosili Materkę i zamierzali zawrócić, od chałupy Marczewskich rozległ się krzyk:

— Nie! Zaczekajcie!

Marczewska biegła od domu. Deszcz pochwyił ją natychmiast i zdusił krzyk — ludzie usłyszeli jednak. Zostali na miejscach. W którymś momencie kobieta poślizgnęła się i przewróciła w błotną maź. To podnieciło zgromadzonych. Odezwali się pośród śmiechów:

— Nie słuchać jej! Wykapać ją w błocie...

Marczewska uniosła głowę. Ładną twarz spiął grymas.

— Tylko spróbuj który! Oczy wydrapię!

Odstąpili. Pozwolili kobiecie podnieść się i podejść do Materki.

— Ja was Materka chcę tylko spytać, jak było z torfistą Jędrzejem? Był wyrok od razu? No, mówcie! Daliście wyrok?! Daliście! Własną kobietę rozciął na pół siekierą i daliście mu szansę? Daliście. No to co wy teraz...? Krzywdą wam oczy zaślepiła Materka. Te oczy, które nieraz za nas widziały. Chcecie go zostawić bez rozsądzenia, dla tłumu? Przecież go zaraz rozszarpia.

Kobieta zamilkła. Oddychając głośno, wejrzała w mroczne twarze torfistów i lesistów, w bezmyślne twarze ich matek i żon. Kolejno opuszczali wzrok. Materka zamyślił się. Z tego zamyślenia zapytał nagle ludzką cizbę:

— No jak?

— Powróż! — odpowiedział pierwszy z brzegu.

— Powróż! — zażądał Włodek Majtyka.

— Powróż, Mszary, powróż — domagali się kolejni. Koło zamknęło się. Doszło do Marczewskiej.

— Mszary — orzekła bez wahania kobieta.

Odwróciła spojrzenie od ludzi z powrotem na starego Materkę. Materka swoim zwyczajem pomilczał chwilę, potem odezwał się głucho pośród szeptów i domysłów:

— Niech będą Mszary, mszarowa wyspa. To ogłaszam przed Bogiem i przed wami ludzie.

Dzień nie zmienił się. Zaciągnięty deszczową mgłą, zszarpały, podwieszony pod matowe niebo — trwał. Zawieja ogłędnał się. Stał na ostatnim za Wiązówką pagórku. W dole zobaczył niewyraźny obrys kwadratu chałup i za węglem jednej z nich jakąś postać. To była Marczewska. Patrzyła za mężczyzną wzrokiem, z którego trudno było coś przeczytać. Tego jednak Zawieja nie mógł zobaczyć. Ruszył dalej, zarzucając na plecy

brezentowy worek umocowany do kija. Wkrótce jego sylwetka była już tylko niejasnym epizodem w pejzażu rzadkich drzew i parujących trzcinowisk, zamkniętych horyzontem, którego można się było tylko domyślać.

Stary Jędrzej pracował przy torfie. Wyrobisko, eksploatowane od lat, było olbrzymią niszą wypełnioną czerwono — brunatną, błotną breją. Stary kucał przy krawędzi wyrobiska. Obrabiał małą siekierką torfowe kęsy. Formował je w dość zgrabne bloczki i odkładał na przyręcz. Miał na głowie duży worek rozcięty wzdłuż szwu, układający się na plecach w pelerynę. Całe jego odzienie przebarwione było torfem, co sprawiało, iż sylwetka starego wyglądała jak jeszcze jeden niedoformowany kawałek kopaliny. Podobnie była ubarwiona nieduża suczka, kręcąca się wokół Jędrzeja z niezrozumiałą dla tego miejsca radością.

Stary wykonywał wolne, celowe ruchy. Od czasu do czasu przecierał twarz wierzchem dłoni i zaglądał w niebo tak, jakby niebu złorzeczył. W takim momencie zastał go głos Zawieji:

— Szczęść wam Boże, Jędrzeju.

Jędrzej nie od razu podniósł wzrok. Dokończył obciosowywać torfowy blok, wsparł się na obuchu siekierki i spojrzął wolno spođe łba.

— A ty kto? Torfista czy lesista? U nas się po tym poznaje... A zresztą kto byś nie był i tobie szczęść Boże, chociaż Boga tu nie uświadczysz. On bliżej wsi chodzi...

Stary uśmiechnął się do siebie, jakby dopowiadał sobie coś w środku.

— Ja Zawieja. To znaczy z lasu, z partyzantki takie przezwanie, a zwyczajnie, to Makowca syn — lesisty z Wiązówki.

— Makowiec? To od was już nie ma żywych. Tyś ostatni.

— Nie całkiem ostatni...

— Ostatni, nie ostatni... Ja niby z mojego nazwiska też ostatni żywy, a od dawna trupem mnie czuć...

Stary zawiesił głos. Sięgnął pod worek przykrywający głowę. Wydobył stamtąd zmiękle opakowanie z papierosami. Zapalili.

— Czasem ktoś ze wsi do mnie zajdzie, ktoś przyjedzie wozem torf odebrać. Słyszysz się coś niecoś... To prawda, co o tobie...?

— Prawda.

— Znaczy, że jak cię żywego puścili, to tobie jedna droga teraz.

— Mszary — potwierdził Zawieja.

— No to trup z trupem rozmawia... Dużo wody tego roku. Mokry rok, znaczy, a całą wodę bagno wypilo. A pod bagnem — rozumiesz — glina, albo nawet żywa skała i ta woda rozlana z rzeki i z deszczu — nigdzie nie pójdzie, bo i gdzie niby miałyby pójść? Mszary wzięły ją całą w siebie. Opity się, rozdeły jak ropucha. To pewnie rozumiesz, co to oznacza dla ciebie... Na moje oko nikt nie dojdzie do wyspy. Nikt. Nawet ty. Na ostatnie piętnaście lat — ja tylko... Zresztą nie było potrzeby, żeby kto inny... Nawet przed Niemcem w inną stronę się uciekało. Taka ludzka natura... Jak była wojna i był Niemiec pod ręką, to na niego cała ludzka żółć poszła. Nie było kogo karcieć ze swoich, bo cudzy, obcy był na podporządku do nienawidzenia. Teraz inny czas... Trzeba ci było wracać człowieku? Ludziom pod oczy na nowo wchodzić?

Zawieja milczał. Skrywał papierosa w półprzymkniętych dłoniach i patrzył przed siebie.

— A jak nawet dojdiesz do wyspy, jak cię błota nie utopia i gaz torfowy nie zaczadzi — to co potem, co potem?

— Wy Jędrzeju wytrzymaliście, inni przed wami też czasem wracali...

— Ty człowieku zdaje się nic nie rozumiesz. Dawniej zwierzyny więcej było na bagnach. Wnyki się stawiało. Masz wnyki?

— Nie.

— A rapcie wiklinowe, a siekierkę jaką, żeby dach nad głową...?

Zawieja milczał.

— To można powiedzieć, że pierwsze twoje szczęście, żeś ty mnie spotkał po drodze. Jeszcze ci tylko sto szczęść potrzeba. Dużo, dużo ci człowieku trzeba wytłumaczyć.

Jędrzejowa chatka stała prawie na krawędzi wyrobiska, za niewielkim wyniesieniem z rzadka porośłym brzezina. Stary sklecił ją byle jak, z krągłaków brzożowych uszczelnionych mchem, ocieplonych podsuszonym torfem nabitym za ogatę z drążków. Całe skromne obejście pełne było przystawek, przykletek małych jak skrzynki, a w każdej jakiś skarb: tu cyranka ze złamanym skrzydłem, tam dwa bobrzyki, ówdzie jeszcze co innego. Obok przysadzistej ławy pod oknem stał garncarski toczek, na nim zaś niedoformowany kęs gliny.

Jednak tym, co szczególnie zwracało uwagę i wrywało obejście z otoczenia, była kamienna kariatyda wspierająca jeden z narożników chatki. Tkwiła tam wpasowana kamiennym grzbietem w krągłość ściany, uwikłana w trzcinowy dach i gliniane klepisko, dźwigająca brzemień, do jakiego nie nawykła.

Wnętrze, choć podobnie posępne, było bardziej uporządkowane. Kilka prostych sprzętów: stół na krzyżakach, stołki z brzozowych bierwion z wiklinowymi siedziskami, półki, szafki i dwie prycze pod dwiema przeciwległymi ścianami. I znów, jak na zewnątrz, jeden przedmiot nie przystawał tu do reszty — sprężynowy patefon wspierający się mosiężną tubą o jedną z prycz. Stary odsunął patefon. Wyciągnął spod pryczy dwa splecione z wikliny owalne rapcie z troczkami do mocowania na butach. Za nimi poszły druciane wnyki, sznurkowy więcierz, siekierka, młotek, piłka ramowa, gwoździe, skórzany woreczek na szyję z zapalnikami i papierosami. Wyjmując sprzęty Jędrzej głośno je nazywał, jakby to przydawanie nazw przedmiotom równe było z przydawaniem na nowo użyteczności.

Zmierch zapadł gwałtownie, bez uprzedzenia. Zza okna doszło raz i drugi dalekie wycie wilków. Ruda suczka podniosła łebek, zastrzygła uszami i warknęła trochę ze strachu, a trochę dla formy.

Stary Jędrzej zmniejszył knot w naftowej lampie. Położył się na pryczy. Za chwilę usłyszał pytanie Zawiei:

— Wilki?

— Wilki, ale daleko, za Mszarami. Jak rok suchszy, to nawet bagno potrafią przejść za sarną albo koziołkiem. Dziad opowiadał, że ich przewodnik z ludzi się wywodzi. Z takiego jak ja czy ty wygnańca bagiennego, co go wieś za kazirodztwo na wyspę skazała. Podobno sparzył się z wielką wilczycą i z jej miotu jedno wilcze wyszło w ludzkiej postaci z głową wilka. Do dziś ludzie przysięgają, że widują czasem w lesie takie stworzenie.

— A wy widzieliście?

— Ja? Ja różne rzeczy widziałem w życiu... Ty też może zobaczysz, jak się nawdychasz mszarowych wyziewów.

— A ten posąg?

— Jaki posąg?

— No ten, co podpira chatę.

— No, podpira. Stoi sobie, patrzy na świat i podpira...

— Ale skąd on tutaj?

— Znaleziony...

— A was Jędrzeju właściwie za co wygnali na bagno?

— Mnie za co wygnali? Ano wygnali. Widać winien byłem. Wielu pamięta, że ja kobietę siekierą zarąbałem. Mało kto pamięta, że ta moja kobieta, kiedy ją siekierą uderzał, siedziała nadziana na to, co pod brzuchem nosił ten akurat, na którym siedziała. Bo byli i inni... Jak ja już byłem prawie nieżywy z rozpaczy, to ludzie szybko przyszli z przypomnieniami, że i inni byli, co moją kobietę nadziewali na siebie jak pospólną własność. A ja — widzisz — dla tej kobiety... Zresztą może nie tak było, może nie tak... Pamięć — widzisz — zawodna... Jak by jednak nie było, piętnaście lat w kopalni się przesiedziało. Ale to im nie wystarczyło — tym z Wiązówki. Dali swój wyrok. Taki, co to mnie miał sprzed ich oczu na zawsze wypędzić. Ja przetrzymałem, ale im ten wyrok na zawsze w sercach pozostał. Przeszedł z ojców na dzieci. Oni mi tam tak naprawdę — nigdy nie odpuścili...

Dzień wstał taki jak poprzedni. Jędrzej patrzył na Zawieję. Mężczyzna wydostawał się właśnie na wierzchołek wyniesienia, za którym tłusto rozlewało się bagnisko. Był zaledwie drobiną wpasowaną na wcisk między jaśniejszą wypukłość ziemi a ciemniejszą wypukłość nieba.

— Jakiś ty mały człowieku... — powiedział do siebie Jędrzej, odwrócił się i odszedł.

Zawieja zszedł ze skłonu. Ostrożnie stawiając nogi doszedł do wyraźnie zarysowanej krawędzi oddzielającej stały grunt od moczarów. Rozglądął się, potem usiadł i z plecaka podarowanego mu przez Jędrzeja wyjął wiklinowe rapcie. Kiedy umocował je na nogach, poszedł kilka kroków do krzaku leszczyny. Wyciął z niego solidny kij. Tak przygotowany ruszył w drogę.

Pierwszy raz oglądął się po kilkunastu zaledwie krokach. Mierzył decyzję jakąś sobie tylko znaną miarą, spoglądał pod nogi, potem znów za siebie.

Dokładnie w tym samym czasie Jędrzej bluznął krwią z podciętego gardła. Czyjeś zabłocone dłonie puściły wiotkie ciało starca. Osunął się na ziemię, a krew wolno mieszała się z błotem, tylko nieznacznie zmieniając jego kolor. Zabójca wytarł bagnet o krawędź ławki stojącej pod Jędrzejową chałupą. Kiedy chował narzędzie za cholewę, do nogi przypadła mu z jazgotem suczka i wgrzyzła się w but. Zabójca jednym ruchem odrzucił daleko oszalałe z rozpaczy zwierzę.

Bagno kusiło. Rozlane szeroko, zamknięte mgłą dookoła, uginające się pod każdym krokiem. Zawieja przystanął zmęczony. Spojrzał pod nogi. Mszary rozchodziły się w szwach, połyskiwały ciemniejszymi,

grząskimi przepadlinami. Coraz mniej było drzew, a i krzaki — rachityczne, rozchwiane — nie dawały solidnego oparcia. Tuż pod nogami Zawiei zbulgotało błoto, napęczniała torfowa skorupa i skłęsa zaraz uwalniając obłok błotnego czadu. Zawieja odpiął od pasa manierkę. Upił łyk, potem sięgnął po chustkę i dokładnie nasaczył ją wodą. Zawiązał chustkę za głowę, naciągnął na twarz przykrywając usta wraz z nosem. Pochylił się po kij.

Orzeł runął znieca. Zawieja zdążył tylko usłyszeć groźny poszum skrzydeł i krótki orli piakot. Ptak spadł na pochylone plecy mężczyzny z ogromną siłą. Błysnęły szpony. Zawieja stracił równowagę i runął z krzykiem wprost w ciemne koło błotnej przepadliny. Bagno otworzyło się, odpłynęło lepka falą, aby za chwilę wrócić i pociągnąć za sobą. Lewa dłoń mężczyzny trafiła po omacku na kępę trawy. Zacisnęła się na niej rozpaczliwie. Zawieja przetarł oczy i szybko spojrzał w górę. Orzeł zawracał. Wielkie skrzydła z łopotem mieszały powietrze. Mężczyzna skurczył się w sobie, jęknął głośno uprzedzając ból. Ptak nadleciał jak pocisk i po raz drugi przeorał plecy Zawiei. Zawieja krzyknął, ptak zaś zawtórował triumfującym piakotem i nabral wysokość. Teraz Zawieja miał chwilę czasu. Wyciągnął prawą rękę najdalej jak potrafił. Próbował energicznym podaniem ciała w przód sięgnąć jakiegoś oparcia. Na darmo. Bagno ciągnęło w dół, odbierało siłę. Mężczyzna spróbował jeszcze raz. Zacisnął zęby i ze skowytym rzucił się przed siebie. Błoto puściło go trochę. Już prawie sięgał trawy, już prawie zaciskał na niej dłoń — kiedy orzeł wrócił. Tym razem sięgnął głowy Zawiei. Musiał zranic głęboko, bo krew zalała oczy mężczyzny. Lewa dłoń rozluźniła się na chwilę. Starczyło tego, by trawa wyslizgnęła się z palców. Błoto już go prawie miało, już sięgało piersi. Z odmetów bagiennych uwolnił się kolejny obłok gazu. Odurzył Zawieję, odebrał wolę walki. Mężczyzna spojrzał w górę. Wysoko na tle pociemniałego nieba orzeł zataczał zwycięski krąg. Nim zdążył zamknąć pętlę — zaczął padać deszcz. To otrzeźwiło trochę Zawieję. Dostrzegł nagle pasek od plecaka przewieszony przez kępy, sięgający błota. Ostrożnie trafił palcem w otwór sprzączki i naprężył pasek. Plecak trzymał się dość mocno, więc Zawieja milimetr po milimetrze zaczął przyciągać się do brzegu. Nie mógł wiedzieć, że plecak uchem drugiej szelki zaczepiony był o niewielką zaledwie wypukłość terenu. Kiedy po następnej chwili miał już pasek w dłoni, pociągnął zbyt energicznie. Szelka uwolniła się z kępy trawy i plecak jak wystrzelony z procy trafił w bagiennie koło nie opodal Zawiei. Wolno zniknął pod brunatną mazią. Mszary wciągały Zawieję. Błoto sięgało już brody, zaczynało wlewać się do ust.

W takiej chwili nadszedł ratunek. Czyjaś mocna ręka pojawiła się niespodziewanie o krok od tonącego. Wystarczyło sięgnąć, uczeplić się tej podanej na ratunek ręki, uczynić ostatni wysiłek. Zawieja wyprężył się, usztywnił, wyciągnął jak struna. Wreszcie palec dotknął palca, potem dłonie spięły się jak klamry — gwałtownie, łapczywie. Zawieja oddychał głośno. Patrzył na rękę niosącą mu ratunek i widział, że ręka i zielone sukno uwalane są krwią. Nie miał czasu się dziwić, bo oto silna dłoń przekreśliła go na plecy i chwyciła za kołnierz. Za chwilę był bezpieczny. Całym tułowiem spoczywał na kępach trawy, a tylko nogi zostały w bagnisku. Otworzył oczy. Pozwolił, by deszcz obmywał go, gasił pragnienie. Kiedy tylko uspokoił oddech, wy dobył nogi z błota. Spojrzał za siebie. Był sam. Szybko wstał. W ostatniej chwili zdążył dostrzec wtapiającą się w mgłę sylwetkę mężczyzny w zniszczonym mundurze. Uformowanie tamtego, jego ruchy — wydały się Zawiei znajome. Zesztywniał z przerażenia. Z trudem wy dobył z siebie ciche, chrapliwe zawołanie:

— Odroważ...

Mężczyzna, nim przekroczył linię mgły, oglądnał się nieznacznie przez ramię. Zawieja rozpoznał.

— Odroważ! — krzyknął głośno.

Mężczyzna nie zareagował. Odwrócił głowę przed siebie i po kilku krokach zapodział się w mgielnym mleku. Zawieja został sam. Ukucnął. Wtulił głowę w ramiona i rozplakał się głośno.

Kuśtyk Macieja pracował przy żywicowaniu sosny. W lesie w pobliżu Maciei nie było już nikogo z lesistów. Dzień z wolna kończył się. Macieja uwijał się, by zdążyć z nacięciem ostatniej tego dnia spały. Drzewo było już okorowane na czerwono, do łyka. Sosna wypuściła soki. Pierwsze krople żywicy wezbrały w lepki strumień. Spływały po jodelce. Stary zrobił ostatnie nacięcie, potem podwiesił kubek i zadowolony wsparł się plecami o pień. Zapalił papierosa. Kiedy po raz pierwszy łapczywie zaciągnął się dymem, gdzieś niedaleko rozległ się miarowy stukot czarnego dzięcioła. Macieja uniósł głowę. Wtedy przyszła śmierć.

Szybkie dłonie zabójcy oplotły drutem szyję Maciei i pień. Pociągnęły. Stary otworzył usta, wypuścił papierosa. Po stalowej linie pocięła krew, spłynęła na świeżo skończoną spałę, by po jodelce dogonić żywicę. Jako pierwsza dotarła do kubka.

Dłonie zabójcy połuźniły uchwyt, połączyły końce drutu i zaplotły go mocno na pniu. Ciało Maciei zwiotczało, ale trzymane drutem — pozostało przy sośnie.

Wyspa na Mszarach nigdy nie uległa bagnu. Była owalnym, łagodnym wyniesieniem o niezwyklej symetrii złamanej jedynie długą ostrogą, wychodzącą w błota na kilkadziesiąt metrów. Jej powierzchnia zmieniała się w

zależności od obfitości opadów. Jeżeli rok był mokry, rzeka rozlewała się szeroko i zasilala bagno. Nadymala je do granic mozliwosci. Wyspa pomniejszala sie wtedy, ostroga niknela pod woda. Zawsze pozostawalo jej jednak wiecej, niz mozna bylo przerzucic kamieniem. Drzewa na wyspie rosly w grupach, jakby balo sie samotnosci. Byly to glownie wiotkie brzozy szczipone po piec, szesc lub rozedrgane osiki, kladace sie skosem pod kazdym naporem wiatru.

Nie bylo na mszarowej wyspie jakiegos naturalnego schronienia. Miejsce zdawalo sie wystawiac na pokaz, eksponowac bezwstydnie wszystko — co z nim nie zwiazane. Wrazenie takiej obcosci, wystawienia na pokaz, sprawial na przyklad duzy glaz uformowany na ksztalt kamiennego stolca, wrosniety w sklon wyniesienia kilka metrow ponizej wierzchołka.

Zawieja siedzial na brzegu wyspy, u nasady ostrogi ledwo wystajacej z blota. Drzal z zimna. Po dluzszej chwili wstal. Poszedl ku wierzchołkowi wyniesienia, w miejsce, gdzie z trudem trzymajac sie drzew staly resztki Jędrzejowego zabudowania sprzed lat. Ongis bylo to pewnie solidne schronienie, wpasowane zmyslnie miedzy trzy brzozy, obite malymi drzewkami, przeplecione trzcina i brzozowym lykiem. Teraz chatka chwiala sie i klekotala poluznionym poszyciem przy kazdym uderzeniu wiatru. Zawieja nie mial wyboru. Wszedl do srodka, zagarnal za soba naręcze trzciny i wtulil sie w najsolidniejszy kat. Dluogo trwal w stanie pólсну, który nie dawal odpoczynku, ale pozwalal odlozyc na pozniej wszystkie konieczne decyzje. Za jakis czas ozywil sie razem z mysla, która przyszla nagle, nieoczekiwanie. Siegnal do rzemyka wiszacego na szyi i idac jego sladem wydobył spod zamoklego odzienia brezentowy woreczek podarowany mu przez Jędrzeja. Usmiechnal sie.

— Ogień — powiedzial do siebie, nazywajac glošno to, co bylo jego glówną troską.

— Ogień — powtorzyl.

Bylo juz ciemno, kiedy uporat sie z ogniskiem. Rozpalil je niedaleko szalasu, prawie na wierzchołku wyniesienia.

Ogień podsycany wiatrem sypal dookola iskrami. Ubranie na Zawiei parowalo. Męczyzna zdjal buty, nalozyl je na wbite w ziemie kije, potem podsunal sie do ogniska najblizej jak mogl. Usiadl, objal rekami kolana, wejrzal w ogien. Cieplo i zmęczenie zniewolily go szybko. Opušcil glowe. Trwalo to zaledwie kilka chwil, bowiem gdzieš bardzo blisko, o kilka zaledwie kroków, uslyszal jakies szurnięcie i w slad za nim znizony do szeptu glós napominajacy kogos. Oprzytomnial nagle. Za ogniskiem dojrzal wtopioną w czerń, rozmazaną przez ogien sylwetkę czlowieka. Otworzil usta za zdumienia. Nie mogl sie mylic. Piec, moze szesc metrow od niego, siedzial męczyzna w wojskowym drelichu, obok zaš warowala wielka wilczyca z obnazonymi klami i spojrzaniem utkwionym w Zawiei. Zawieja chcial sie uniesc, ale grozne warknięcie wilczycy usadzilo go na powrot. Strzelil plomien, zrobilo sie jasniej. Na ten moment przybysz zwrócił glowe w kierunku ogniska. To wystarczylo. Zawieja zbladl w jednej chwili. Chcial sie odezvac, ale glós zostal mu w gardle. Spróbowal jeszcze raz. Wydobył z siebie chrapliwy szept, który tylko z trudem przypominal ludzką mowe:

— Odroważ. Ty...? Jak to mozliwe? Przeciez ja... Odroważ, ja oszalalem wtedy. To nie moje rece, nie moje... Tereska z dzieckiem, kobiety, twój ojciec... i ten glós rozdaający zycie, ten straszny glós! Ja oszalalem... To nie ja przeciez. Odroważ... Ty wiesz... Kto moze wiedziec lepiej? Ty wiesz, ze ja nie chodzilam za plecami innych. Odroważ...

Zawieja przerwal. Znów chcial sie uniesc, ale wilczyca byla czujna. Wypręzyla grzbiet; postapila krok do przodu, ostrzegla.

— Odroważ, nie milcz. Powiedz chociaz jedno slowo. Te rozumiesz... Chociaz jedno slowo...

Zawieja obudzil sie nagle. Šwitalo. Z ogniska wypelzly siwe smuzki dymu i nie unoszac sie zniknely pošród traw. Męczyzna z trudem ogarnial rzeczywistošć. Zatoczył koło dzikim wzrokiem i uważnie, spode lba przepatrzył wyspę. Kiedy juz koło prawie zamykalo sie — zobaczył wilczycę. Sporo niżej, prawie przy krawędzi bagniska, warowala przy uwalanym błotem plecaku. Sprawiala wrazenie, jakby czekala cierpliwie na czyjś przyzwanie. Zawieja zerwal sie na nogi. Był przerażony i zdeorientowany.

— Mszary... — szepnal do siebie.

Zaslonil usta i nos dłonią, ale tak samo szybko zrezygnowal. Usmiechnal sie kącikiem ust jak ktoś, kto odkrył oszustwo.

— Mszary... Nie ma ciebie wilku. Ja jestem. Tylko ja jestem. Nikogo nie ma poza mną. Mszary. Ja...

Uspokoil sie tylko na chwile, bo oto gdzieš zza leszczyn doszedl cienki zašwist, coś jak przywołanie, wydanie rozkazu. Wilczyca postawila uszy i za chwile odbiegla w kierunku glósu. Rozplynela sie we mgle. Zawieja zostal sam. Dluogo trwal w bezruchu, potem ostrožnie poszedl w dol w kierunku plecaka.

W tym samym czasie wilczyca miękko przylgnęła do trzciny obok gołych stóp swojego pana. Przy jej pysku pojawiła się dłoń. Zwierzę polizało ją pokornie i przymknęło oczy. Odeszli dopiero wtedy, kiedy Zawieja dotarł do swojego plecaka i gorączkowo zabrał się do jego rozpakowywania.

Marczewska podeszła do okna. Dzień zapowiadał się pogodniejszy niż poprzednie. Uciążliwa siapawica zamieniła się na miejsca z wiatrem, który przetaił nieco niebo. Wieś milczała jeszcze. Gdzeniegdzie tylko szczeknął pies, pochwalił dzień jakiś kogut, poskarżyło się zgłodniałe bydło. Marczewska przepatrywała Wiązówkę, nie spodziewając się w pejzażowym kole żadnego zmażenia. Myliła się. Oto po drugiej stronie kwadratowego placu, przy stodołach — zobaczyła Hanke. Było to głupie dziewczę — jędrne, spragnione męskich lędźwi. To spragnienie pchało ją do jednej ze stodoł — prawie na oczach ludzi. Szybko otworzyła furtkę przy wrótniach, ogładnęła się, by chociaż udać ukrywanie i weszła do środka. Za chwilę, przecinając plac w poprzek, poszedł ku niej Władek Majtyka. Już przy wrótniach zaczął rozpinąć spodnie.

Marczewska uśmiechnęła się do siebie, potem zarzuciła chustkę na ramiona. Wyszła z mieszkania.

Szła brzegiem moczary, wąskim przesmykiem między piaszczystą skarżą a połyskującą powłoką Mszarów. Kiedy wydostała się na wzgórze, niebo akurat przetaiło się do końca. Słońce strzeliło zza chmur i prześwieciło całą okolicę. Marczewska uśmiechnęła się już drugi raz tego dnia. Spojrzała na połyskliwą bagienną powłokę, na rozkołysane trzciny, potem usiadła na trawie. Nie wytrzymała tak długo. Zdażyła jeszcze wystawić twarz do słońca i przymknąć oczy, kiedy jej uszu doszedł ochryply psi jazgot. Za chwilę w ślad za nim, zza kopuły wyniesienia wybiegła rozdygotana Jędrzejowa suczka. Zwierzę przypadło do nóg Marczewskiej, pokręciło się trochę, poskarżyło po swojemu i zawróciło w kierunku szczytu wyniesienia. Marczewska wstała.

W stodole panował półmrok. Władek Majtyka biorąc wielkie hausty powietrza, ugniatał poddający się brzuch Hanki. Leżeli w sąsiedku. Ich ubrania i ciała wymieszały się z sianem. Kobieta miała półprzymknięte z zadowolenia oczy. Popiskiwała cichutko w rytm Władkowych naporów.

Śmierć przysła razem z miłosnymi spazmami. Śmignęła cienka stalowa linka i oplótła Władkową szyję. Hanka nie zdażyła nawet krzyknąć z przerażenia, kiedy opasłe cielsko Majtyki z wielką siłą zdarte zostało z jej ciała. W chwilę potem ciężka łapa zamknęła jej gotowe do krzyku usta, wdusiła głowę w siano.

Kiedy Marczewska stanęła w pobliżu chatki torfisty Jędrzeja, niebo zaciągnęło się na nowo i okryło okolicę szarością. Ponurości dopełniła kamienna kariatyda wspierająca naroże domu, nie mająca się nijak do tego miejsca, wybijająca się bielą ponad brunatność otoczenia. Ruda suczka uciszyła się nieco. Zniknęła za załomem budynku i stamtąd dochodziło teraz jej skomlenie. Marczewska ostrożnie ruszyła naprzód. Była już zaledwie kilka kroków od płotka przedzielonego wąskim przesmykiem przejścia, kiedy zobaczyła Jędrzeja. Stary, odwrócony plecami, siedział na toczku garncarskim — sztywny, malowniczo wpisany w pejzaż. Obok toczka stał niski brzozywy zydeł, na nim zaś patefon. Ucichła suczka warowała przy nogach Jędrzeja. Marczewska odetchnęła z ulgą. Odezwała się:

— Jędrzeju, Jędrzeju!

Stary nie zareagował. Kobieta zawołała jeszcze raz, potem zniecierpliwiona ruszyła w kierunku przerwy w płotku. Kiedy przekraczała przejście, potknęła się nagle o niewidoczną przeszkodę. Była nią cieniutka stalowa linka przewleczona w poprzek przesmyku, na niewielkiej wysokości. Przybyła syknęła z bólu, ale zaraz zamilkła, usłyszała bowiem skrzypnięcie toczka. Nim uniosła głowę, linka nawinięta na dolne koło toczka naprężyła się, koło weszło w wolny obrót, zaś wiór wciśnięty w jego pęknięcie musnął lekko zapadniętym uruchamiając mechanizm patefonu. Zdziwiona Marczewska usłyszała dźwięki walca, potem zobaczyła, jak w rytm muzyki toczek okręca się wolno, jak siedzący na nim Jędrzej obraca się dostojnie, jak potem, po kilku obrotach traci równowagę i nie zmieniając pozycji — zwała się na ziemię. Krzyknęła z przerażenia, ale zaraz zamilkła na nowo. Rozglądnęła się trwożnie, potem zaczęła odwrót — krok po kroku, uważnie, szukając przy tym ulgi w cichutkim pojękiwaniu. Po kilku krokach odwróciła się i w wielkim pośpiechu ruszyła na powrót w kierunku Wiązówki.

Biegła nie odwracając się ani razu, potykając się o nierówności drogi, oddychając głośno. Pod jej powieki wracał co chwilę straszny widok zobaczony w objęciu Jędrzeja. Nie miał to być jednak ostatni taki widok tego dnia.

Ślaniając się ze zmęczenia zbiegła ze skłonu pagórka, stanęła między szczytami dwóch chałup flankujących drogę wchodzącą do wsi. Z lewej strony miała swój dom, zaś w głębi, po przeciwnej stronie placu — stojące w rzędzie stodoły. Chciała uspokoić oddech, dać sobie chwilę czasu przed przekazaniem wsi ponurej wiadomości, ale nie zdołała. Oto w rytm grającego jeszcze w niej upiornego walca otworzyły się ze skrzypem wrótnie stodoły i wyjechał rozpięty na nich, okrwawiony trup Władka Majtyki. Kobieta jęknęła. Zaraz zobaczyła, jak z otwartych na przestrzał wrótni wybiegają drobne sylwetki mężczyzn w zniszczonych mundurach, uzbrojonych, pokrzykujących po niemiecku. W tym samym czasie od dołu placu, z prawej strony, dwóch kolejnych bandytów

zaganiało na plac mieszkańców wyciągniętych z chałup. Marczevska liczyła napastników, nie mogąc uczynić niczego rozsądniejszego. Pięciu ze stodoły i dwóch zaganiających mieszkańców Wiązówki — zbliżało się do siebie. Na taki moment z głębi stodoły wyszła Hanka. Marczevska zagryzła wargi do krwi. Dziewczyna szła na sztywnych, szeroko rozstawionych nogach. Postępowała jak zabawka na sprężynę — krok za krokiem, wolno, upiornie. Była prawie naga, okryta jedynie strzępami zdartego na siłę odzienia. W którymś momencie stanęła, rozglądając się i roześmiała głośno, nie rozumiejąc tego, co dzieje się wokół niej. Nie ustawała w śmiechu aż do momentu, kiedy dwie grupy Niemców połączyły się, kiedy ustawiono mieszkańców Wiązówki w rzędzie i kiedy jeden z uwolnionych od zajęć bandytów uciszył ją mocnym uderzeniem w twarz.

Zapadła cisza. Marczevska zagryzła dłoń, by nie krzyżeć. Przez chwilę stała jeszcze nie potrafiąc ocenić wydarzeń, potem odwróciła się gwałtownie. W jednej chwili jej twarz znalazła się naprzeciw nie ogolonej twarzy bandyty, ukrywającego się do tej pory za jej plecami. Niemiec uśmiechnął się łagodnie, pogłaskał kobietę po policzku, potem przestał się uśmiechać, chwycił ją za kark i pchnął w kierunku placu.

Zawieja pracował przy umacnianiu domostwa. Zdążył już zgromadzić sporo brzozowych pasów, leszczynowych tyczek i trzciny. Kończył właśnie przetykanie brzozowym łykiem jednej ze ścian chaty. W pewnej odległości od niej wbił gęstym rzędem kilkanaście leszczynowych kołków i upchnął za nimi trzcinę. Powstawała ciepła, solidna ogata. Spojrzał na robotę. Podobała mu się. Zadowolony poszedł do płonącego nie opodal ogniska, dorzucił drew, potem usiadł na kamiennym stolcu i sięgnął po siekierkę. Zabrał się do ociosywania na tyczki kolejnych leszczynowych drzewek. Przerwał, kiedy usłyszał daleki piakot orła. Spojrzał w górę. Ptak krążył wysoko, zataczał koła, pilnował swojej dziedziny — wyraźnie niezadowolony z obecności intruza. Zawieja przymrużył oczy. Kilkoma ruchami zaostrzył koniec leszczynowej tyczki. Wbił ją obok kamienia, potem położył siekierkę na kamiennym siedzisku i nieoczekiwanie zaczął podskakiwać wymachując ramionami i pohukując przy tym głośno. Ptakowi to wystarczyło. Runął w dół. Gwałtownie nabierając szybkości, celował najwyraźniej w dziwnie zachowującego się człowieka. Zawieja wyczekał do końca, do momentu kiedy orzeł przybliżył się na kilka metrów, a okolicę przeszył jego groźny głos zmieszany ze świstem gwałtownie ciętego powietrza. Szybko chwycił oburącz leszczynową tyczkę i zamachnął się z całej siły. Nie trafił. Energia włożona w uderzenie pozbawiła go równowagi, zaś zaostroszony koniec kija zmiotł z kamienia siekierkę. Ptak zdziwiony oporem człowieka poleciał wyżej niż zwykle. Zawieja zaklął. Podniósł się z ziemi i popatrzył za orłem. Ptak nie zamierzał wracać. Uspokojony, a może nawet zadowolony Zawieja sięgnął na powrót po siekierkę. Spojrzał zdziwiony. Na kamieniu nie było narzędzia. Przyklęknął i na czworakach dokładnie spenetrował otoczenie głązu. W którymś momencie dojrzał trzonek siekierki znikający w wąskim otworze, którego większa część przykryta była kamieniem. Sięgnął, ale nie dość ostrożnie. Siekierka potrącona końcami palców zniknęła pod kamieniem. W ślad za tym ucha Zawiei doszedł zwielokrotniony, zanikający odgłos uderzeń drewna i metalu o skałę. Mężczyzna zląkł się. Znalazł spory kamień, rozgrzebał nieco obrzeże otworu i wpuścił kamień do środka. Szybko przyłożył ucho do otworu. Nie mógł się mylić. Pod gładem otwierała się przestrzeń. Zawieja nie zwlekał. Ciekawość była silniejsza od strachu. Przypadł do głązu. W pierwszym odruchu chciał go przesunąć siłą swoich rąk. Na darmo. Kamień drgnął zaledwie, ale nie przesunął się więcej niż kilka centymetrów. Spróbował inaczej. Położył tuż przy gładzie duży okrągłak z brzozowego pnia, oparł na nim żerdź i mocnym ruchem wcisnął ją pod kamień. Naparł na dźwignię najpierw samymi rękoma. Kiedy poczuł, że gład poddaje się, podniecony przewiesił się brzuchem przez żerdź i naparł jeszcze mocniej. Pomogło lekkie nachylenie terenu. Gład zsunął się najpierw kilkanaście centymetrów po żerdzi, potem przekoziółkował i odsłonił czeluść. Różnica temperatur spowodowała gwałtowny ruch powietrza w kierunku otworu. Wszystko, co było w pobliżu, zniknęło za chwilę w dziurze, a Zawieja tylko z trudem utrzymał równowagę. Po chwili wiatr ustąpił tak samo nagle jak się zerwał. Zawieja ostrożnie podszedł do krawędzi otworu. Zobaczył, że ma on ściany z litej skały, a tylko przy brzegach porośnięty jest mchem i przysypany ziemią. Dziura nie była szeroka. Miała nieregularny kształt i około czterdziestu centymetrów przekroju. Zawieja ocenił, że zdoła się w nim zmieścić. Pobiegł do chaty po sznur.

Skalna studnia poszerzała się stopniowo i łagodnie. Jej ściany były szorstkie, dawały oparcie dla stóp i dłoni. Zawieja poruszał się ostrożnie. Schodził klinując się plecami i stopami o przeciwległe ściany. Zauważył, że wilgoć z pokrywy mszarowej wyspy przenikała do studni, formowała się w strumyki ciekące po skale ze wszystkich stron. W którymś momencie zatrzymał się i wsłuchał w odgłosy studni. Dochodził go miarowy poszum strumyków, stukanie kropli o skalne występy — wszystko powiększone o pogłos, który kazał się domyślać położonych niżej, większych przestrzeni. Pośród odgłosów doszło też uszu Zawiei przeciągłe, ledwo słyszalne wycie jakiegoś zwierzęcia. Sięgnął do boku. Sprawdził, że nóż zatknięty za pas i przywiązany do niego rzemieniem jest na miejscu. Ruszył dalej. Pionowa studnia dość szybko otworzyła się w przestronną komorę, od dna której prowadziła ukośna pochylnia. Zawieja zawahał się, ale po chwili ruszył dalej. Zaczął się zsuwać pochylnią, nie tracąc z oczu sklepienia. Zauważył, że przybliżyła się ono zacieśniając korytarz. Za chwilę przed

jego nogami wyrosło zawalisko. Widać kęsy granitu, kiedy przychodził ich czas — odrywały się od sklepienia, toczyły pochylnią i nieruchomiały wpasowane w siebie. Przez szczeliny między kamieniami przekradało się światło. Zawieja trącił pierwszy głaz z brzegu. Kamień nie drgnął. Sprawiał wrażenie trzymającego się dość mocno reszty zawaliska. Odszukał większą szczelinę. Wpasował się w nią ciałem, zaczął się przeciskać. Przez kilka metrów dość łatwo znajdował drogę. Mając do wyboru wiele wąskich szczelin — wybierał najlepszą, prowadzącą do przodu. W którymś momencie wybrał źle. Przesmyk między głazami zacieśnił się szybko i urwał zamknięty granitową gładzią. Zawieja zaklął. Spojrzał na świetne smużki sączące się między głazami, obiecujące rychły koniec drogi. Napał nogami na przeszkodę. Zawalisko drgnęło. Jeszcze raz napiął mięśnie i pomagając sobie krzykiem — wyprostował nogi. Głaz najpierw odchylił się lekko, potem przesunął potrącając inne głazy. Za chwilę całe zawalisko ożyło. Kamienie uwolnione z kępujących je uścisków ruszyły z hukiem, zabierając ze sobą uwięzionego pośród nich człowieka. Po chwili wszystko ucichło, zawalisko zaś pokryło się granitowym pyłem.

Napastnicy zgromadzili mieszkańców Wiązówki w stodole. Na zewnątrz, z jednej i drugiej strony przechadzali się wartownicy. Zapadł zmierzch. Ludzie poszeptowali coś do siebie trwożnie, milkli jednak natychmiast, kiedy przez szpary wrót przemykał do stodoły cień kogoś z bandytów. W pewnej chwili do wartownika podszedł któryś z Niemców. Po krótkiej rozmowie otworzył furtkę w skrzydle wrót. Marczevska poznała. Był nim ten, który zatrzymał ją przy wejściu do wsi. Niemiec zmrzył oczy. Niespiesznie rozglądał się. W pewnym momencie jego spojrzenie trafiło na Marczevską. Kobieta szybko opuściła wzrok. Serce zabiło jej mocniej. Przytuliła do siebie Józia. Niemiec uśmiechnął się i podobnie bez pośpiechu podszedł. Odezwał się:

— No wstawaj, wstawaj...

Marczevska skuliła się, przyłgnęła plecami do ściany sąsiedka. Na nic zdała się taka obrona. Niemiec pochylił się, ujął kobietę pod ramię i mocno zaciskając dłoń podniósł ją z klepiska. Wysyczał przy tym:

— Nie opieraj się dziwko, bo tylko sobie zaszkodzisz.

Po tych słowach pociągnął Marczevską do wyjścia. Wyszli ze stodoły odprowadzani porozumiewawczymi śmiechami innych Niemców.

Noc pogłębiła się. Zza chmur wyszedł księżyc i posrebrzył okolicę. Zrobiło się jasno jak o świcie. Niemiec zmienił taktykę. Objął Marczevską ramieniem, dziwnie miłym głosem — zaśpiewał po cichu. Kiedy znaleźli się za ostatnimi chałupami, bandyta odwrócił nagle kobietę twarzą do siebie i wpił się ustami w jej usta. Marczevska usiłowała się bronić, ale napastnik był bardzo silny. Jednym ruchem zdarł jej górę sukienki, uderzył wierzchem dłoni w twarz. Kobieta upadła. Prerażona, pozbawiona woli — przestała się opierać. Zbir uśmiechnął się. Bez pośpiechu rozpiął pas i kurtkę. Nagle powietrze przeszył groźny zaświst i w ślad za nim mignął przed Marczevską wielki cień zwierzęcia. Szara wilczyca uczepliła się gardła bandyty, powaliła go na ziemię i przegryzła krtań — nim zdążył zrozumieć co się stało. Marczevska nie poruszyła się, nie drgnęła nawet. Patrzyła zdziwiona, jak wilczyca skończyła sprawę, potem usiadła w oczekiwaniu. Po chwili zza prześwietlonych na srebrnoszaro drzew — wychynęła wolno jakaś postać. Podeszła kilka kroków. Marczevska patrzyła jak zahipnotyzowana. Był to prawie nagi mężczyzna... z głową wilka. Nie mogła się mylić. Otworzyła usta ze zdumienia. Stworzenie podeszło jeszcze dwa kroki. Zatrzymało się. Było dość daleko, a mimo to Marczevska zobaczyła wyraźnie wielki wilczy łeb z mądrymi oczami, zrosnięty z muskularnym ciałem mężczyzny. Patrzyli na siebie przez długą chwilę, potem stworzenie wydało z siebie cienki zaświst. Wilczyca postawiła uszy, naprężyła się i kilkoma skokami przypadła do nóg swojego pana. Odeszli w noc.

Nad bagnem rozszalała się burza — gwałtowna, nie zapowiedziana choćby pomrukiem. Z nieba lunął potok, którego centrum zdawało się celować w mszarową wyspę. Błyskawice raz za razem wstrzeliwały się w ciemność. Woda szybko wzbierała w strumienie i szukała dla siebie ujścia. W otworze po granitowym głazie zakotłowało się.

Zawieja ocknął się. Wolno otworzył oczy. Próbował się poruszyć. Był cały, ale zawał uwięził go w tak wąskiej przestrzeni, że nawet odwrócenie się na bok było niemożliwe. Za sobą i przed sobą miał skalne bloki wklinowane w siebie z całą mocą. Ruch kamieni wyniósł go prawie pod sklepienie pochylni. Leżał na wznak i miał ją zaledwie trzydzieści centymetrów nad głową — wilgotną, połyskliwą gładź. Z dużym wysiłkiem sięgnął do pasa i odtroczył nóż. Spróbował naruszyć skalne otoczenie. Na darmo. Ostrze odbijało się od wszystkiego, ześlizgiwało, sypało iskrami. W pewnym momencie usłyszał jednostajny, narastający szum. Znieruchomiał. Szum szybko przybliżył się i zaatakował nagle potokiem wody, która wdarła się do pochylni. Zawieja zakrztusił się, szybko jednak odkaslnął, złapał oddech, gwałtownie wrócił do przerwanej próby poszukiwania ratunku. W jakiejś chwili, wiedziony bardziej rozpaczą niż świadomym zamysłem — mocno uderzył nożem w sklepienie, tuż nad głową. Nóż wszedł po rękojeść. Zawieja ożywił się. Nie było jeszcze za późno. Zaczął szybko, raz za

razem uderzać w ciekłą warstwę spoiwa łączącego kamienie. Powoli otwierała się przestrzeń nad nim. Dopływała z niej odrobina światła. Tymczasem woda w pochylni wezbrała i sięgnęła już połowy tułowia. Zawieja wzmógł wysiłek. Pryskały kawałki skały, powiększał się otwór — ale woda była szybsza. Już za chwilę zaczęła sięgać ust. Zawieja zaczerpnął powietrza, zamknął usta, zanurzył głowę w wodzie. Dał chwilę odpocząć zeszywniałemu karkowi, potem na nowo wynurzył się i wykonał kilka ruchów nożem. Tym razem odpadł większy okruch kamienia, jednak otwór ciągle był zbyt mały, by dać szansę ucieczki. Zawieja jeszcze raz odchylił głowę i zanurzył się w wodzie. Po chwili wynurzył się. Ciężko oddychając uderzył nożem w sklepienie. Tym razem uczynił to tak niefortunnie, że ostrze ułamało się tuż przy nasadzie i wpadło do wody. Mężczyzna jęknął z rozpaczy. Wypuścił trzonek i samymi dłońmi próbował powiększyć dziurę. Na darmo. Siły opuszczały go. Przegrywał. Jeszcze tylko przywarł ustami do otworu, łapczywie zaczerpnął haust powietrza, potem wolno opuścił głowę do wody. Umierał.

Ratunek przyszedł w ostatniej chwili. W mętnej toni pojawiła się tuż koło głowy Zawiei czyjaś dłoń, chwyciła za włosy, pociągnęła. Głowa Zawiei znalazła się nad wodą. W chwilę potem tajemniczy wybawca kawałkiem kamienia skruszył wokół niej skałę i wyciągnął nieprzytomnego Zawieję na jasny, połyskliwy wyłóg. Odszedł.

Zawieję obudziła muzyka. Otworzył oczy, podniósł się szybko i spojrzał. Stał na błyszczącym kamiennym jezorze, w przestronnym korytarzu o dość regularnym, łukowatym sklepieniu. Korytarz prowadził w dwie strony, ale tylko na prawo od Zawiei otwierał się w większą salę, od której napływało słabe jeszcze, niebieskawe światło. Muzyka ucichła. Zawieja spojrzał pod nogi. Zobaczył wykuszony w podłożu otwór, pod którym pienieł się potok. Dopiero teraz — uspokojony, bezpieczny — wolno rozglądał się. Ściany korytarza wyłożone były skalną draperią, uformowaną w najbardziej fantastyczne struktury, mieniającą się wielobarwnie. Wolno poszedł przed siebie, w kierunku światła. Stąpił ostrożnie, omijając kamienne wyłobienia o delikatnych, koronkowych obrzeżach, skrywające pod przejrzystą tonią skupiska małych, wygładzonych przez wodę kamyków. Korytarz poszerzył się i niepostrzeżenie przeszedł w wielką salę o surowych, granitowych ścianach. Sklepienia sali nie sięgał już wzrok Zawiei. Po drugiej stronie sali, jakby na przedłużeniu korytarza, zobaczył regularny, zamknięty owalem otwór, zza którego napływało intensywne dzienne światło. Ruszył w tym kierunku. Po kilku krokach z prawej strony doszło go ciche popiskiwanie. Stał. Popiskiwanie dobywało się z niewielkiej niszy skalnej umieszczonej w ścianie jaskini. Zawieja podszedł wolno. Kiedy wysilił wzrok, dojrzał wielką, szarą wilczycę leżącą na ziemi, przy niej zaś — dwa wilczęta wessane pyszczkami w wymię. Wilczyca bezgłośnie obnażyła kły. Zawieja zrozumiał. Wycofał się bez pośpiechu. Nie zatrzymując się już, poszedł w kierunku wyjścia.

Na zewnątrz było ponuro, dużo ciemniej, niżby wskazywała na to intensywność światła dochodzącego do jaskini. Zawieja nie zdziwił się. Otwierający się przed nim świat niczym zasadniczym nie różnił się od tego, który zostawił na górze. Był może trochę ciemniejszy, bardziej przybliżony do zmierzchu. I tu padało, ale deszcz był drobniejszy, prawie niewidoczny. Zawieja nie postął długo. Szybko zaufał nowemu miejscu i już bez strachu ruszył w kierunku dwóch rzędów drzew uformowanych w rodzaj alei, która mogła gdzieś prowadzić. Aleja wyłożona była kamiennymi płytami, które spajał mech przerastający łączenia. Mszany nalot gęstniał w miarę zagłębiania się w aleję, aż w którymś momencie, zupełnie zacierając rysunek płyt — przechodził w zwykłą, wiejską drogę. Podobnie działo się z drzewami stojącymi po bokach. Rzedły, karłały, zwyczajniały — by niepostrzeżenie pokazać się jako dzdiziałe jabłonie i śliwy, porastające boki wiejskiej drogi. Nagle, w jednej chwili, Zawieja poznał w niej drogę prowadzącą do Wiązówki. Stał. Zaczął się bać. Serce podeszło mu do gardła. Bardzo wolno, pokonując opór zeszywniałego karku — oglądał się. Zobaczył to, co spodziewał się zobaczyć — długą, wiejską drogę, zamkniętą na horyzoncie ścianą lasu. Drogę, którą nie tak dawno przyszedł do Wiązówki. Czy przyszedł? Spocił się. Szybko ruszył z miejsca — przed siebie, do wsi.

Nadszedł od zachodu, od skłonu porośniętego lasem, schodzącego do tylnych ścian stodół, za którymi droga zawijała wraz z rzeką i wprowadzała na wiązówkowy plac. Na placu było pusto. Wiatr podrywał z ziemi żdźbła słomy, sianowe targańce i rzucał na powrót w kałuże, pod płoty. Skrzypiały okiennice, uderzały głucho w omszałe ściany, odzywały się poluźnione szyby w oknach. Wieś była pusta. Zawieja wszedł do pierwszej z brzegu chałupy. Wnętrze też nie tłumaczyło przyczyny wyludnienia wsi. Nie było żadnych oznak pośpiechu, ucieczki. Przeciwnie. Na łózkach kłębiły się odęte pierzyny i poduszki. Na ścianach wisały prosto święte obrazy. Naczynia stały na półkach w posłusznych rzędach i innych przeznaczonych im konfiguracjach. Wszystko jednak zaciągnięte było błoną pajęczyny i kurzu, która drżała przy każdym kroku Zawiei. Wyszedł na powrót na plac. Dopiero teraz spostrzegł przerwę w rzędzie stodół, a w niej pogorzeliśko rozwleczone już przez czas. Spojrzał w kierunku swojego domu. Nie chciał wejść. Wystarczył mu widok zbutwiałych stopni prowadzących do ganku i zdziczałego opłotu winorośli, która pozapętała się drapieżnie wokół okien i

szczytowej ściany. Nie doszedł uszu Zawieja żaden psi jazgot ani też inny, normalny dla wsi głos. Tu nie było życia. Zawieja nie czekał. Ruszył w kierunku przesmyku wyprowadzającego ze wsi na pobliskie wzgórze. Kiedy wyostał się na wierzchołek, przez chwilę miał pokusę, by oglądnać się, by zobaczyć kogoś żywego, namawiającego do powrotu. Wytrwał. Nie oglądnać się. Poszedł w kierunku torfowego wyrobiska. Nim doszedł — świat dookoła pojaśniał. Dopiero teraz Zawieja zrozumiał, że w tym świecie, tak do złudzenia przypominającym Wiązówkę i jej okolice, czas nie wyprzedza — ale zostaje w tyle. Że dopiero wstaje dzień.

Na torfowym wyrobisku nie było nikogo. Niszę wypełniała błotna breja, po której pływały sparciałe worki. Przy krawędzi stał drewniany wóz, cały pozieleniał od mszanego porostu. Przy dyszlu leżały uformowane w koński porządek — czaszka, żebra, kości nóg i rozpadająca się uprząż. Konisko za życia musiało być płochliwe, bo bielejąca czaszka ubrana była ciągle w dopasowany kantar z klapami na oczy. I tu Zawieja nie pobylł długo. Zostało mu jeszcze jedno miejsce — Jędrzejowa chata. Ruszył ku niej pośpiesznie.

Niskie zabudowania trzymały się solidnie. Drobną płotek klekotał połuznionymi sztachetkami — ale stał. Zawieja zrobił krok w kierunku przesmyku w płotku. Potknął się o coś. Była to porzeczka stalowa linka, której naprężenie wprowadziło w obrót garncarski toczek, ten zaś wpasowanym weń wiórem poruszył na chwilę mechanizm stojącego przy nim patefonu. Zaskrzypiała igła, odezwał się spowolniony, ochrypli walc i zaraz zamilkł. Zawieja nie wszedł do chatki. Wiedział, co zastanie. Jeszcze tylko zmierzył się spojrzeniem z kamienną kariatydą i już wracał do siebie, do domu, na bagno...

Po drodze doszło go dalekie wycie wilka. Ten głos miał przestraszyć go — wrócił nadzieję. Tym głosem zapowiadało się życie.

Bagno nie było głębokie jak kiedyś. Pierwsze kroki wydały się Zawieja dziwnie łatwe. Leszczynowy kij zagłębiał się zaledwie do połowy. Był już dość daleko od miejsca, w którym piaszczysta skarpa schodziła się z moczarskim, kiedy usłyszał krzyk. Nie od razu oglądnać się. Krzyk doszedł po raz drugi. To wołała Marczevska. Zawieja stanął. Tym razem odwrócił się. Nie próbował zrozumieć. Po prostu zobaczył biegnącą kobietę i poznał, że jest nią Marczevska — jego kobieta. To wystarczyło, by nie rozumiejąc — zawrócił.

Ukryli się w lesie. Dzień zaledwie się zaczął. Marczevska trzęsąc się z zimna, obejmując ramionami kolana siedziała na powalonym drzewie. Patrzyła na Zawieję, który z ręką utkwioną po ramię szukał czegoś w dziupli wielkiego dębu. Po chwili znalazł. Wydobył zawiniątko o podłużnym kształcie, omotane gęsto sznurkiem. Kiedy je rozwinął, z naoliwionych szmat ukazał się dobrze zakonserwowany, pięciostrażowy mosin z celownikiem optycznym. Zawieja powąchał przesiąkniętą smarami kolbę karabinu, potem odryglował zamek i zajrzał do komory. Uśmiechnął się złym, zaciętym uśmiechem. Wstał.

Do wsi zbliżyli się od zachodu. Zawieja, ukryty za drzewami, przepatrzył najpierw z lunetą przy oku tylne ściany stodoły. Szybko zauważył, że na wrótniach stodoły, w której trzymano mieszkańców Wiązówki, Niemcy umieścili zmyślną pułapkę uniemożliwiającą wyjście. Były to dwa granaty zwrócone do siebie uszkami zawleczek, przymocowane do dwóch połówek wrótni. Zawlecзки z rozprostowanymi końcówkami połączone były sznurkiem. Wystarczyło lekko pchnąć wrótnie, lub nawet jedną z połówek, by granaty oddaliły się od siebie, zaś zawlecзки wysunęły z zapalników. Ze stodoły dochodził głośny płacz dzieci i ciche zawodzenie kobiet. Zawieja szybko opuścił to miejsce. Przemykając lasem przekradł się na przeciwległą stronę. Był teraz na pagórku położonym od wschodniej części wsi. Miał przed sobą główny plac Wiązówki zamknięty od góry przednią ścianą stodoły, z lewej strony okazały dom Marczevskich z przybudowanym szerokim gankiem, na dole zaś, najbliższej siebie — opustoszałe chłopskie zabudowania. Przyłożył lunetę do oka. Od tej strony wejście do stodoły nie było zabezpieczone w podobny sposób jak od tyłu i dawało pozór łatwego dostępu. Zawieja przeniósł karabin w lewo. Za barierą ganku dostrzegł natychmiast czterech przyczajonych bandytów z karabinami. Odetchnął głęboko i spojrzał na Marczevską.

— Na pewno chcesz?

Kobieta przytaknęła w milczeniu.

— Pamiętasz wszystko?

Marczevska spojrzała na Zawieję i oczy jej zabłyszczały. Otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale zawahała się, opanowała i tylko kiwnęła potakująco głową. Wstała.

Zawieja ułożył się wygodnie w trawie. Przyłgnął policzkiem do kolby mosina, odciągnął do tyłu ciężko bezpiecznika i przekręcił je w lewo do oporu, potem szybko odryglował zamek. Do komory wskoczył z chrzęstem nabój z magazynka i ułożył się w podajniku. Zawieja wolno pchnął rygiel do przodu. Nabój wszedł do lufy.

Tymczasem Marczevska zdołała już dojść prawie na środek placu. Zawieja szybko przeniósł karabin w lewo. Zobaczył przez lunetę, jak Niemcy skryci za barierą ganku popatrywali po sobie zdziwieni i wyraźnie uspokojeni. W pewnym momencie drzwi od domu otworzyły się. Stanął w nich przywódca zbirów. Zawieja rozpoznał od razu. Nie miał czasu się dziwić, bo oto przystojny, jasnowłosy dowódca szepnął coś po

niemiecku i w ślad za tym czterech zbirów wpadło na plac. Zdążyli zrobić pięć, może sześć kroków w kierunku Marczewskiej, kiedy dwa precyzyjne strzały powaliły dwóch pierwszych. Marczevska rzuciła się w kierunku stodoły, szybko dopadła furtki we wrótniach. Czyjeś ręce wciągnęły ją do środka i kiedy tylko furtka zamknęła się na nowo, po wrótniach posypały się serie z pistoletu maszynowego. Wszystko przebiegło bardzo szybko. Zawieja zdążył przeładować broń po raz trzeci, ale nim przymierzył się do strzału, dwóch ocalałych Niemców zdołało już wrócić w popłochu na ganek, zostawiając na placu trupy kamratów. Zapadła cisza. Zawieja przetarł pot z czoła i uzupełnił magazynek. Nie czekał długo. Za chwilę przez szczytowe okno domu Marczewskich wyskoczył któryś z Niemców z płonąca pochodnią w ręku. Gwałtownie ruszył w kierunku stodoły. Miał do niej około czterdziestu metrów — za daleko na rzut. Przebiegł więc kilkanaście metrów i zamachnął się potężnie. Strzał Zawiei zgasił go tuż przed rzutem. Niemiec, młody, ładny chłopak, zwiotczał gwałtownie, upadł i potoczył się jeszcze kilka metrów. Pochodnia upadła tuż przy nim. W stodole ktoś uchylił furtkę, ale zaraz zamknął ją na nowo przygnieciony serią z automatu. Z niewidocznego okna w szczytowej ścianie domu Marczewskich wyskoczył kolejny zbir. Głęboko pochylony dopadł do płonącej jeszcze pochodni. W tym samym czasie trzej pozostali Niemcy zakryli ogniem wzgórze i stanowisko Zawiei. Zawieja szybko przeturlał się kilka metrów w prawo i przyłożył karabin do ramienia. Spóźnił się. Strzał przeciął Niemca w trakcie rzutu. Pochodnia zatoczyła łuk, sięgnęła węgła stodoły. Wilgotne drewno zatliło się. Przerażony Zawieja zobaczył, jak za chwilę ze stodoły wypadło dwóch odważniejszych mężczyzn. Jeden z nich skierował się do leżących Niemców po broń, zaś drugi do rogu stodoły, by przygasić ogień, żaden nie zdążył. Dziesiątki pocisków pozbawiły ich życia. Minęło jeszcze kilka chwil i płomień wspinając się po narożnej desce sięgnął strzechy stodoły. We wnętrzu rozległo się zawodzenie ludzi. Zawieja nie zwlekał. Najszybciej jak potrafił obiegł wieś i ustawił się między drzewami od zachodniej strony. Po prawej stronie widział teraz oddalony szczyt domu Marczewskich, przed sobą zaś zabezpieczone granatami tylne wrótnie stodoły. Nie mógł ryzykować podejścia. Wsparł się bokiem o pień sosny. Umieścił łokieć między pasem karabinu a kolbą i odstawił go szeroko. Przyłożył policzek do tak usztywnionej broni. Wolno doprowadził wytrasowany na lupie krzyż w pobliże sznurka łączącego zapalniki granatów. Odetchnął głęboko, potem wypuścił połowę powietrza i ustawił poziomą kreskę krzyża na sznurku. Lekko nacisnął spust. Strzelił. Broń odbiła, pocisk zaś przepalił połowę sznurka ocierając się o kółko zapalnika. Zawlecza w lewym granacie wysunęła się do połowy. Tymczasem ogień ogarnął już całą strzechę. Wilgotna słoma spalała się w kłębach burego dymu. Ludzie zgromadzeni w stodole zaczęli się dusić i kaszleć głośno. Zawieja obliznął spierzchnięte wargi. Szybko zarepetował. Przyłożył policzek do kolby. Tym razem wycelował bliżej prawego granatu. Palec powędrował do spustu, dolna linia krzyża zatrzymała się na połuznionym już nieco sznurku. Huknął strzał. Sznurek przestrzelony tuż przy uchu zawlecza prawego granatu opadł luźno. Ludzie wewnątrz stodoły zareagowali bez paniki. Najpierw któryś z mężczyzn lekko uchylił wrótni, prześlizgnął się przez szparę i dwoma wprawnymi ruchami zagiął końcówki zawleczek. W chwilę potem na wrótnie naparł tłum oszalałych ze strachu, na w pół zaczadzonych ludzi. Ruszyli przed siebie, do lasu, w ukrycie. Nagle z prawej strony, zza węgła, wyskoczył jeden z trzech pozostałych przy życiu Niemców z bronią gotową do strzału. Zawieja zareagował błyskawicznie. Nie składając się prawie — strzelił z biodra. Niemiec upadł.

Wieś opustoszała szybko. Zrobiło się cicho jak w grobie. Zawieja wrócił na stanowisko położone od wschodniej strony. Ułożył się w trawie. Przed sobą miał widoczny jak na dłoni plac Wiązówki, na nim zaś leżące dwa trupy Niemców i dwóch martwych mieszkańców wsi. Zapalił papierosa. Po dłuższej chwili skrzypnęły drzwi w domu Marczewskich. Pojawił się w nich Kurt — przywódca zbirów. Zawieja zeszytniał z przerażenia. Niemiec trzymał za kołnierz Józia — syna Zawiei i Marczewskiej. Drugi ocalały zbir celował chłopcu w plecy. Wyszli na plac i wtedy zdarzyło się coś, czego Zawieja nie mógł przewidzieć. Oto Kurt bez słowa wyciągnął pistolet, uśmiechnął się i wycelował w głowę chłopca. Zawieja szybko przyłożył się do strzału. Niepotrzebnie. Kurt uniósł pistolet wyżej, potem nie przestając się uśmiechać — strzelił dwukrotnie w brzuch swojemu kompanowi. Niemiec upadł martwy. Kurt nie śpiesząc się, świadom, iż jest obserwowany przez Zawieję — wycofał się wraz z chłopcem na powrót do mieszkania Marczewskich. Zawieja zaczął rozumieć. Wyjął magazynek z mosina, sprawdził go, potem przeładował karabin. Sięgnął do uwiązanej na szyi chustki, która do tej pory chroniła go przed mszarowymi wyziewami. Odwiązał chustkę i niespiesznie zszedł po skłonie stoku na plac Wiązówki. Tam stanął przodem do domu Marczewskich. Po dłuższej chwili nieoczekiwanie zawiązał sobie chustkę na czole. Nie czekał długo. Skrzypnęły drzwi. Wyszedł z nich Kurt trzymający za kołnierz Józia. Ruszył w kierunku stodoły. Zawieja prowadził zbira wzrokiem — czujnie, gotów do natychmiastowej reakcji. Kurt doszedł wraz z chłopcem do zgliszcz stodoły i odwrócił się twarzą do Zawiei. Przez długą chwilę mierzyli się spojrzeniami, potem Zawieja sięgnął ręką do czoła, w kierunku chustki. Opuszczając ją na oczy, przypomniał sobie dokładnie dzień sprzed dwóch lat.

Trwała wojna. Dowodzony przez Odrowąża oddział zdziesiątkowała doborowa jednostka SS dowodzona przez Kurta. Tego dnia Niemcy wprowadzili kilkunastu ocalałych partyzantów, pośród nich Zawieję, na plac

między domami Wiązówki. Leśni wyglądali strasznie. Byli obszarpani, nie ogoleni, brudni. Było kilku rannych, naprędcie opatrzonych bandażami, które zdążyły już nasiąknąć krwią, zbrunatnieć. Kurt, przystojny blondyn o chłopięcej twarzy, kazał ustawić partyzantów na środku placu i zgromadzić przy nich mieszkańców Wiązówki. Niemcy przypędzili ich pośród płaczków, krzyków, wydawanych głośno poleceń. Szybko ustawiono miejscowych półkolem za partyzantami. Wtedy do akcji wszedł Kurt. Swobodnie, jakby chodziło o pokaz mody, zaczął ustawiać długi szereg ludzi, wybierając spośród miejscowych, swoich żołnierzy i partyzantów. Układem nie rządziła żadna logika. Najpierw stał któryś z wiązówkowych starców, dalej — kobieta, niemiecki żołnierz, partyzant, Marczevska, niemiecki żołnierz, Odrowąż, inny partyzant, znów Niemiec, któryś z wiązówkowych chłopów, kobieta, Niemiec. Kiedy uznał, iż konfiguracja odpowiada jego pomysłowi — zwrócił się niespodziewanie do Zawiei:

— Ty, do ciebie mówię. Ty dobrze strzelasz. Tyś zastrzelił najwięcej moich ludzi. Ja ciebie dobrze zapamiętałem. Teraz sobie postrzelasz...

Po tych słowach, na dany przez Kurta znak, do Zawiei przypadło dwóch niemieckich żołnierzy i przyciągnęło go przed oblicze swojego dowódcy. Kurt nie patrząc na Zawieję kontynuował:

— Gdybyś nie chciał strzelać, to ja wtedy będę strzelał, ale będzie pewna różnica... Kurt przerwał, wyjął z kieszeni czarną chustkę i przewiązał nią oczy Zawiei. Dokończył:

— Ja będę wiedział do kogo strzelam i nie muszę ci chyba mówić, jak będę wybierał...

Zapadła cisza. Zawieja ciężko oddychając stanął naprzeciw ustawionego przez Kurta szeregu. Rozwiązano mu ręce, podano karabin. Długo nie mógł nic zrobić, uczynić najmniejszego ruchu. Stężało mu czoło, wyszły żyły na szyi, zadrżały dłonie. Nagle usłyszał strzał. Kurt dotrzymywał słowa. Na ziemię upadł któryś z wiązówkowych lesistów. Wtedy z szeregu rozległ się straszny, donośny krzyk Odrowąża:

— Zawieja — strzelaj! Na co czekasz?! Wszystkich nas wybije! Strzelaj! To rozkaz! Szósty, dziewiąty, trzeci i jedenasty — to szkopy! Pierwszy z lewej stary Materka! Materka, krzyknijcie!

Materka zrozumiał.

— Zawieja, ja tu stoję! Tu stoję — słyszysz?!

Kurt uśmiechnął się. Zabawa zaczynała mu się podobać. Zawieja wciągnął głęboko powietrze. Podniósł broń do ramienia. Krzyknął:

— Materka, krzyknijcie jeszcze raz! Gdzie wy?!

— Ja tu!

Zawieja przesunął broń w prawo. Szybko nacisnął spust. Stojący jako trzeci z lewej Niemiec — dostał w pierś. Upadł. Na twarzy Kurta nie drgnął nawet jeden mięsień. Patrzył dalej. Zawieja wolno prowadził broń. Zawołał:

— Siódmy, odezwij się! Usłyszał głos Odrowąża:

— To ja!

Szybko przesunął broń odrobinę w lewo. Strzelił. Niemiecki żołnierz stojący przed Odrowążem zgiął się wpół i upadł na twarz. Zawieja przetarł pot z czoła. Po raz kolejny przeladował broń. Nagle usłyszał jakiś ruch i w ślad za tym przerażony głos Odrowąża:

— Zawieja, przestawiają się skurwysyny! Szkopy się przestawiają! Uważaj! Drugi z lewej... nie, teraz czwarty! Pierwsza jest Teresa! Bardziej w prawo, w prawo... ósmy, ja piąty!

Zawieja napięty do granic możliwości, wodził karabinem w ślad za wskazówkami Odrowąża. Rzucal bronią to w lewo, to w prawo, w końcu strzelił. Usłyszał jęk. Trafił w ramię któregoś z Niemców. Opuszczały go siły, tracił panowanie nad nerwami. Tymczasem Odrowąż nie przestawał krzyżeć:

— W lewo, drugi, czwarty! W prawo! Zawieja! Boże!

Zawieja trwał jeszcze przez chwilę w wysiłku poszukiwania lufą karabinu ustawionych w szeregu Niemców, potem nie wytrzymał, złamał się. Otworzył szeroko usta i wydobył z trzewi straszny, zwierzęcy ryk. Wszystko zamilkło. Przestraszył się i pobladł nawet Kurt. Potem wydarzenia potoczyły się bardzo szybko, nieubłaganie. Zawieja zerwał opaskę, rzucił karabin, wyrwał automat stojącemu obok Niemcowi. Strzelił prosto w głos wskazujący mu ofiary. Nawet nie celował. Pamiętał gdzie jest głos i tam strzelił. Długą serią przeciął prawie na pół Odrowąża i opuszczając broń — ranił w nogi starego Materkę, potem wypuścił automat i płacząc upadł na kolana. Kurt dał znak na zakończenie spektaklu. Ludzie rozpierzchli się.

Niedługo potem żołnierze Kurta, śmiejąc się głośno, ubrali Zawieję w mundur SS i wcisnęli mu na głowę niemiecką czapkę. Zawieja poddał się bezwolnie — złamany, wygasły wewnątrz. Dał sobie też otworzyć usta i wlać do gardła szklanekę wódki.

Długo w noc patrzył spod napuchniętych powiek, jak Niemcy bawili się przy ognisku, pili wódkę, śpiewali głośno i puszczały na patefonie wojskowe marsze. Czasem podszedł któryś do niego, pocałował w policzek jak kompana, odszedł. W stodołach kotłowało się od kopulacji, krzyków zniewalanych kobiet, pisków i śmiechów. Zawieja patrzył i nie widział. O świcie odszedł z Niemcami.

Teraz, po dwóch latach, stał naprzeciw Kurta na tym samym placu. Zaciął wargi, potem szybko zsunął opaskę na oczy. Przeładował. Pocisk z chrzęstem wskoczył do lufy. Bardzo wolno uniósł broń, przyłożył policzek do kolby. Nie zdążył nawet usztywnić ramienia i położyć palca na spuście, kiedy gdzieś z lewej strony usłyszał strzał. Wolno podniósł opaskę. W głębi placu stała Marczevska z karabinem w dłoni i mierzyła w Kurta. Zraniony Niemiec wypuścił pistolet. Ciągłe uśmiechając się, popchnął przed siebie Józia. Chłopiec odbiegł na bok, Kurt tymczasem ruszył chwiejnym krokiem w kierunku Marczewskiej. Kobieta strzeliła jeszcze raz. Pocisk sięgnął Kurta. Uklęknął, potem upadł. Kobieta odrzuciła karabin. Targana konwulsjami — odeszła na bok. Kiedy na plac nieśmiało, grupkami, wracali mieszkańcy Wiązówki, Zawieja zdążył już dojść do Marczewskiej i objąć ją ramieniem.

Minęło kilka miesięcy. Przyszła wiosna. Zawieja stał na wzgórzu, po skłonie którego z jednej strony schodziło się do Wiązówki, z drugiej zaś na przesmyk między skarpią a rzeką.

Mężczyzna patrzył w milczeniu na mały punkcik na niebie. Punkcik poruszał się wyraźnymi kołami. To był orzeł. Ten sam, z którym Zawieja mierzył się już dwukrotnie. Za chwilę od wsi posłyszał jakieś odgłosy. Odwrócił się. Zobaczył, jak pod górę brnie mozolnie orszak złożony z siedzącego na krześle Materki i dwóch postępujących z wysiłku chłopów. Kiedy doszli do Zawiei, stary kazał się postawić na trawie i odesłał chłopów na bok. Posłusznie odeszli. Materka odezwał się:

— Wiosna.

— Wiosna — odpowiedział Zawieja.

— Zawsze trudno było z tobą pogadać Zawieja. Zawsze milczek, uparty, zawzięty. A teraz? Gorzej niż z niemową. Po coś wracał człowieku? Po coś wystawiał na próbę i siebie, i nas? Teraz ty ojciec jesteś i mąż, a twoi tyle cię widzą, co przy stole, przy posiłkach. Milczysz?

— Milczę.

Poirytowany stary poczekał jeszcze chwilę na jakieś słowo, ale nie doczekał się. Przywołał nosicieli. Chybotliwy pochód ruszył z powrotem do wsi.

Następnego dnia Zawieja spakował rzeczy i poszedł w kierunku wyspy. Od tej pory szedł jak we śnie, nie starając się nawet rozróżnić tego, co pochodziło z jego głowy, od tego, co być może działo się wokół niego. Szedł. Najpierw brnął po pas w bagnie, potem zmagął się z meandrami w jaskiniowej pochylni, na koniec wszedł do przestronnej sali z owalnym wyjściem prowadzącym na zewnątrz.

Za jaskinią, w wytęsknionym świetle — była jesień i padał drobny, dokuczliwy deszcz. Szybko poszedł aleją, po mszanym, zacierającym się nalocie. Wiązówka czekała. Kiedy ostrożnie wchodził po zbutwiały stopniach - do swojego domu, zdawało mu się, że winny oplot połuźnił się nieco, otworzył drogę. Wszedł. W domu nie było nikogo.

Po kilku dniach znalazły go dzieci. Leżał na skos piaszczystej skarpy schodzącej do bagien. Miał roztrzaskaną czaszkę i wydziobane oczy.